

INDEPENDENT TRADER NEWSLETTER



Niezależny Portal Finansowy
**INDEPENDENT
TRADER**

Wydanie 16 / 2016

W dzisiejszym wydaniu:

1

Kupuj, gdy krew się leje.

Str. 2-5

Rynek akcji w Turcji jest wyjątkowo atrakcyjnie wyceniony. Czy warto w niego inwestować?

2

Jaką mamy rzeczywistą inflację?

Str. 6-13

Różne metodologie liczenia wskazują na inne poziomy inflacji. Która z nich jest najbardziej zgodna z rzeczywistością?

3

Clinton czy Trump - wybory o globalnym znaczeniu.

Str. 14-20

Amerykanie podczas zbliżających się wyborów prezydenckich będą musieli wybrać pomiędzy Donaldem Trumpem, a Hillary Clinton. Czego możemy się spodziewać po kandydatach?

4

Chiny znowu atakują dolara.

Str. 21-24

Dołączenie chińskiego juana do koszyka SDR jest mocnym ciosem w amerykańskiego dolara. Chiny jednak na tym nie poprzestają...

Kupuj, gdy krew się leje.

„Kupuj, gdy krew się leje” mówi sławne przysłowie autorstwa Nathaniela Rotschilda, ojca bankowości centralnej. Ostatecznie podczas niepokojów czy perturbacji na rynkach ceny wielu aktywów spadają do bardzo atrakcyjnych poziomów, gdyż większość inwestorów paraliżuje strach przed utratą kapitału.

Zazwyczaj przysłowie odnosi się wyłącznie do sytuacji na rynkach finansowych. W ostatnim czasie jednak w Turcji miał miejsce nieudany zamach stanu, który kosztował życie prawie 200 osób. Niestabilna sytuacja w kraju sprawiła, że ceny akcji stały się na tyle atrakcyjne, że postanowiłem skorzystać z okazji i kupić ETF dający mi ekspozycję na akcje tureckie.

Żebyście mnie źle nie zrozumieli. Absolutnie nie jestem fanem inwestowania w akcje, przynajmniej obecnie. Na większości rynków rozwiniętych mamy bardzo dojrzałą hossę i ryzyko spadków jest duże. Zdaję sobie jednak sprawę, że banki centralne robią, co mogą, aby dodrukiem oraz interwencjami podtrzymać hossę, w efekcie czego darmowy pieniądź nadal może szukać ujścia w aktywach materialnych. Tu z kolei mamy do czynienia z ogromną dysproporcją. Z jednej strony mamy drogie rynki rozwinięte, odpowiadające za prawie 85% kapitalizacji wszystkich giełd, z drugiej tanie rynki rozwijające się.

O ile w pierwszych dwóch latach obecnej hossy między 2009 - 2011 mieliśmy wzrosty cen akcji praktycznie na całym świecie, o tyle później rynki całkowicie się rozjechały. Ceny akcji w krajach rozwiniętych rosły (szczególnie w USA), podczas gdy w krajach rozwijających się stały w miejscu lub spadały.



Turcja dodatkowo była rynkiem, na którym ceny akcji spadały, nawet w relacji do indeksu krajów rozwijających się, do czego w głównej mierze przyczyniła się słabość lokalnej waluty.

Efekt jest taki, że ceny akcji znalazły się na bardzo ciekawych poziomach, o czym wspominałem zresztą na kilku wykładach. Zwracałem jednak uwagę na podwyższone ryzyko związane z oczekiwanym odwetem ze strony Rosji po zestrzeleniu samolotu. Odwet obniżający ceny akcji o 15% rzeczywiście przyszedł, ale z zupełnie innej strony, sprawiając, że w mojej ocenie potencjał do wzrostów zdecydowanie przeważa nad ryzykiem.



Czemu akurat Turcja?

Wiemy już, że ceny akcji w krajach rozwijających się są na niższych poziomach niż w krajach rozwiniętych. Co więcej, na przestrzeni ostatnich 3 lat ceny akcji tureckich spadały nawet w odniesieniu do indeksu rynków rozwijających się.

Mimo, iż obecnie sytuacja polityczna w Turcji jest niestabilna, to jednak potencjał zawiązką rekompensuje nam niestabilność polityczną. Współczynnik: cena/zysk wynosi 8,97; cena/wartość księgową 1,18; CAPE około 9. Rynek akcji w Turcji na pewno nie jest tak tani, jak w Rosji, ale w mojej ocenie ma duży potencjał długoterminowy. Dodatkowo odreagowanie spadków, które rozpoczęło się po odzyskaniu władzy przez Erdogana, będzie, moim zdaniem, kontynuowane w najbliższych tygodniach.

Za dobrymi perspektywami Turcji przemawia także niski dług, wynoszący 33% w relacji do PKB, więcej niż przyzwoity wzrost gospodarczy wynoszący 4,8% oraz ogromne osłabienie tureckiej liry na przestrzeni ostatnich 5 lat. Od strony geopolitycznej także sytuacja nie wygląda źle. Władze Turcji z dużym prawdopodobieństwem będą beneficjentem walki między Rosją a UE, czy SCO oraz NATO. Każdej stronie zależy na dobrych relacjach z Turcją, dzięki czemu kraj ten ma ogromną przewagę negocjacyjną. Struktura społeczeństwa pod kątem wieku także jest bardzo pozytywna.

Sporym zagrożeniem związanym z inwestycjami w rynek akcji jest duży, bo aż 44% udział banków oraz instytucji ubezpieczeniowych. Biorąc jednak pod uwagę wysokie stopy procentowe, wynoszące obecnie 7,5% oraz niski dług, wydaje się, że sektor finansowy w Turcji jest dużo bezpieczniejszy niż w Europie.

Exposure Breakdowns



Źródło: www.ishares.com

Podsumowanie

Akcje w Turcji od pewnego czasu były warte uwagi. Po 15 lipca stały się aktywem, w które, moim zdaniem, warto zainwestować część kapitału. Perspektywy wyglądają dobrze, wyceny są niskie, jest jednak pewne ale. Jeżeli bankom centralnym nie uda się dodrukiem opanować sytuacji i na rynki akcji zawita bessa, to obniży ona wyceny na wszystkich rynkach.

Z drugiej strony, jeżeli centralni planerzy za cel postawili sobie globalną redukcję długów poprzez zniszczenie waluty, to darmowy kapitał w czasach rosnącej inflacji powinien popłynąć na tańsze rynki m.in. do Turcji.

Ruchy te zresztą widać po pierwszej połowie roku, kiedy to kapitał płynął głównie na tanie rynki z krajów rozwijających się. Ceny akcji w Brazylii wzrosły o astronomiczne 66%, Rosji o 25%. Akcje w Turcji mimo puczu wzrosły w tym czasie o 8%, co i tak jest lepszym wynikiem od S&P.



Jeżeli przyjąć scenariusz inflacyjny, na który coraz więcej wskazuje, to ceny akcji w krajach rozwiniętych będą stały w miejscu lub rosły mniej więcej o wartość rzeczywistej inflacji, podczas gdy wyceny w krajach rozwijających się mogą łatwo podwoić się w perspektywie kolejnych 5 lat. Ja w każdym razie pozostaję bardzo ostrożny, jeżeli chodzi o rynek akcji, ograniczając się na razie wyłącznie do Rosji i Turcji.

Trader21

Jaką mamy rzeczywistą inflację?

Kilka tygodni temu na blogu rozgorzała dyskusja. Dotyczyła wypowiedzi dr Machaja, który na jednym ze swoich wykładów stwierdził, że indeks inflacji opublikowany przez Johna Williama (www.shadowstats.com), jest niewiarygodny, a metodologia jego liczenia jest nie do przyjęcia. Nawiązując do tej kwestii, chciałbym przybliżyć zagadnienia związane z indeksem CPI (zwłaszcza jego historyczne i polityczne podłoże) oraz rozwiązać wątpliwości, jakie pojawiły się wokół alternatywnych narzędzi mierzenia inflacji. Wiele krytycznych opinii zostało napisanych nie tylko pod adresem indeksu Williama, ale również Chapwood Index. Moim zdaniem nieśluszenie. Zanim jednak się do nich odniosę, przybliżę koncepcję inflacji i indeksu CPI (polegają na nim najważniejsze instytucje w państwach całego świata).

Czym jest inflacja i CPI oraz jak się je mierzy?

Do roku 1980 raportowano poziom inflacji jako wzrost podaży pieniądza w obiegu. Im więcej przybywało środka płatniczego, tym wyższą odnotowywano inflację. Był to bardzo przejrzysty i łatwy sposób jej mierzenia. Po 1980 roku porzucono sposób mierzenia inflacji, a w zamian zajęto się raportowaniem zmian kosztów życia. Aby tego dokonać, stworzono indeks CPI (Consumer Price Index), czyli indeks cen konsumpcyjnych.

Według władz ważniejsze od inflacji było zmierzenie wzrostu kosztów życia obywateli. Wiadomo, że pieniądze w gospodarce rozchodzą się nierównomiernie. Dlatego wzrost podaży waluty o 10% niekoniecznie musi spowodować wzrost ceny mleka w sklepie także o 10%. CPI nie jest zatem miarą inflacji, a jedynie różnicą w cenach dóbr i usług, rok do roku.

Przyczyny zmiany definicji inflacji

W USA, po II Wojnie Światowej, w wyniku wzrostu wydatków rządowych związanych z programem „Great Society” i wojną w Wietnamie, ilość dolarów w obiegu wzrastała szybciej, niż zapasy złota. W latach 60. odnotowano wzrost tak znaczący, że u rządzących w Europie pojawiły się obawy o wypłacalność swojego zamorskiego sąsiada. Rozpoczęła się wówczas masowa wymiana rządowych rezerw dolarów na złoto (po z góry ustalonym kursie – 35 USD/uncję). Nie powinien dziwić fakt, że w wyniku tych działań amerykańskie rezerwy kruszcu topniały wyjątkowo szybko. W 1971 roku prezydent USA Richard Nixon doprowadził do braku możliwości wyżej opisanej wymiany.

Wraz z zerwaniem ostatniego linku dolara do złota, kurs kruszcu ponownie stał się płynny. Niestety, nadszarpnięte zaufanie do amerykańskiej waluty doprowadziło do jej dewaluacji.

W celu uratowania dolara, rząd USA zawarł w 1973 r. porozumienie z Arabią Saudyjską, na mocy którego ropa miała być sprzedawana wyłącznie za dolary. W 1975 stworzono OPEC, które przypieczętowało nowy status petrodolara. Aby opanować postępującą dewaluację amerykańskiej waluty, ówczesny prezes FED Paul Volcker podniósł stopy procentowe do 20%. Działania Volkera przywróciły zaufanie do dolara, ponieważ odwróciły spadkowy trend jego indeksu. Aby utrzymać poziom stóp procentowych i zaufanie do waluty, zaniechano publikowania inflacji zgodnie z definicją przyrostu i zamieniono ją na wskaźnik CPI.

Kontrowersyjne metody wyliczania CPI

Indeks CPI, to nic innego jak koszyk dóbr i usług (w Polsce składa się z 1400-2000 pozycji). Są to m.in. artykuły spożywcze, produkty codziennego użytku, koszty usług sektora prywatnego i państwowego (czyli rachunki i opłaty urzędowe).

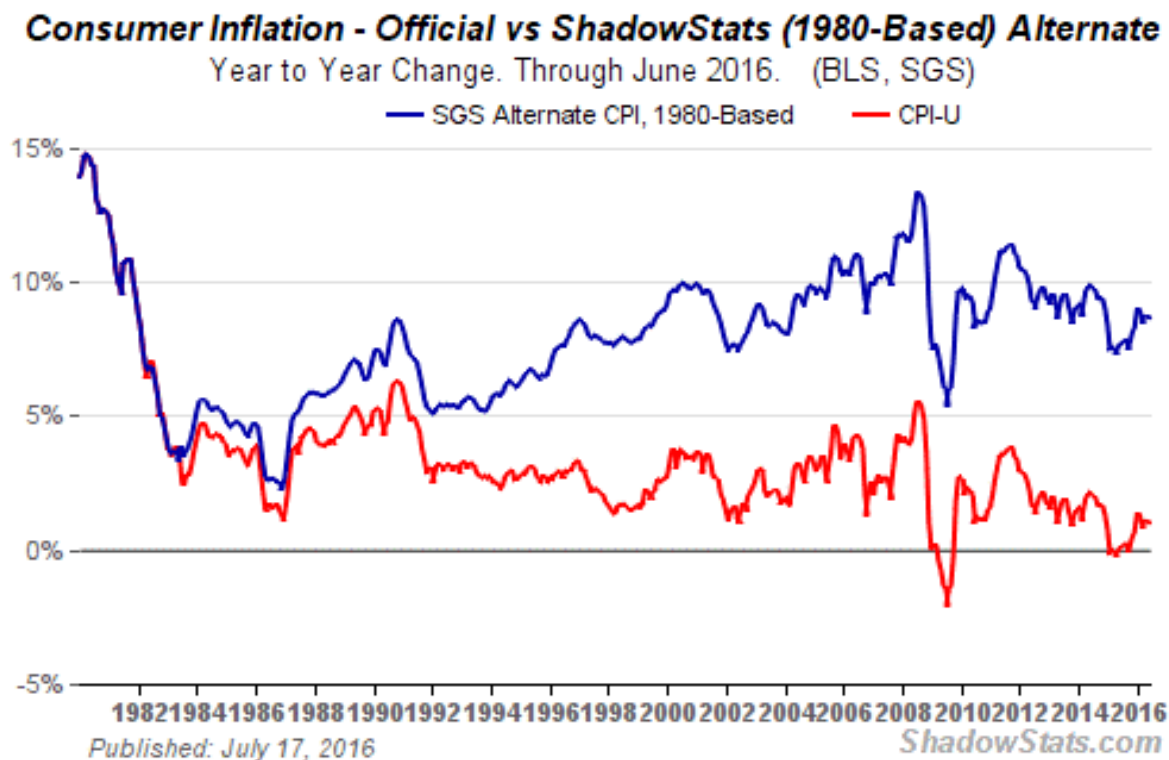
Do metodologii liczenia CPI należy wyłączenie z koszyka dóbr najbardziej zmiennych. Każdego roku tworzony jest nowy koszyk. Na początku usuwane są pozycje (20%), których ceny na przestrzeni miesiąca lub roku uległy największym zmianom. To, co pozostanie w koszyku, jest ponownie uszczuplane, tym razem według formuły „15% średniej odciętej”. 15% dóbr, które najbardziej wzrosły i 15%, które najbardziej spadły, ponownie pomniejsza ilość pozycji w koszyku. Po tych zabiegach koszyk jest uzupełniany substytutami wybieranymi arbitralnie, głównie z powodu niskiej zmienności ich cen.

Stosowanie opisanych wyżej metod przy obliczaniu CPI, wzbudza wiele kontrowersji. Są one jednak uzasadnione. Gdy każdego roku ilość waluty w obiegu wzrasta (szybciej niż suma dóbr i usług w gospodarce), rosną również ceny towarów i usług. To powoduje, że z koszyka wykorzystywanego do mierzenia CPI usuwa się więcej dóbr, które drożeją niż tych, których ceny spadają.

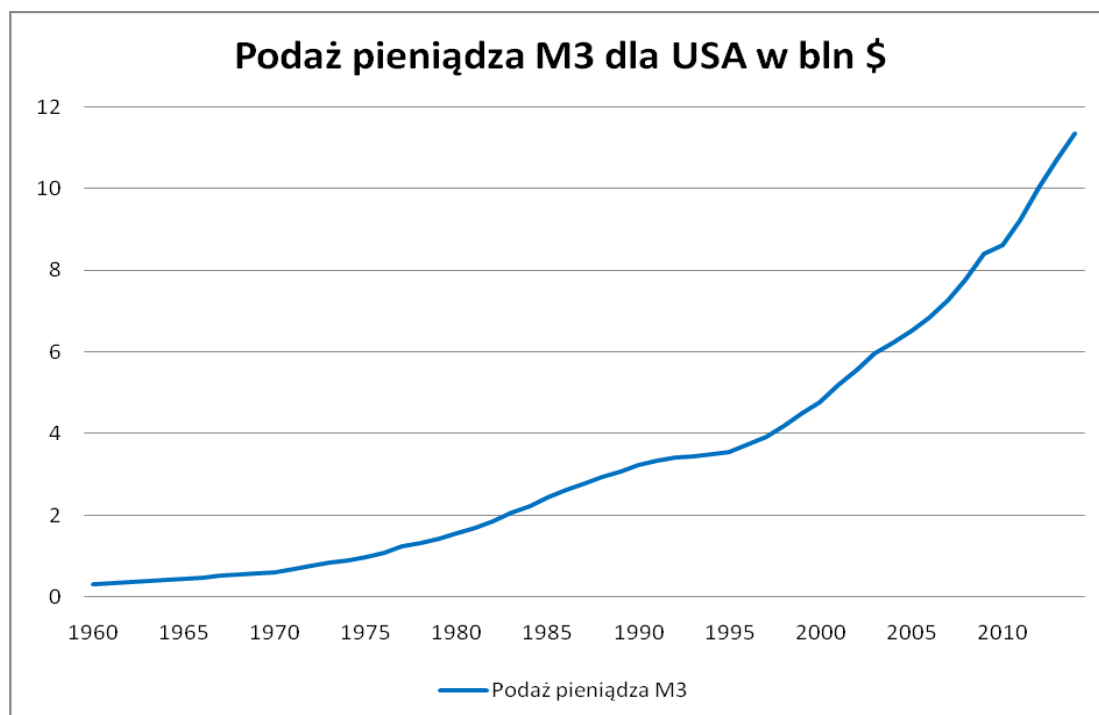
Kolejną wadą metodologii CPI jest niepoprawna substytucyjność dóbr. Zgodnie z ekonomią pozytywną, jeśli konsument ma do wyboru tańszy odpowiednik danego produktu – wybierze ten oferowany po niższej cenie (dzięki czemu nie odczuje tak mocno wzrostu cen). Jest to oczywiście zgodne z prawdą, jednak nie oddaje pełnej, rzeczywistej sytuacji. Nasuwa mi się w tej kwestii zasadnicze pytanie: czy jeśli dzisiaj stać mnie na wołowinę, a za rok tylko na mielonkę garmazeryjną, tzn. że nie zubożałem? Jeśli jako konsument muszę pogodzić się z kupnem niskogatunkowego mięsa, będzie to dla mnie bez znaczenia? Oczywiście, że nie. Mięso mielone również według ekonomistów nie jest substytutem dla wołowiny, jednak jest nim dla statystyków z BLS – Bureau of Labor Statistics (urzędu publikującego indeks CPI w USA).

Indeks Williamsa – alternatywa dla inwestorów wobec rządowego CPI

Metodologia liczenia indeksu Johna Williamsa nie jest w pełni dostępna. Z informacji zamieszczonych na stronie wynika, że pobiera on dane publikowane z BLS, następnie mnoży przez – wyznaczone przez siebie – stałe i otrzymuje pożądany wynik. Przedstawione liczby są zdecydowanie wyższe niż podaje publikowany oficjalny wskaźnik CPI (dane wskazuje poniższy wykres). Linia niebieska, to indeks podawany przez www.shadowstats.com, linia czerwona przedstawia CPI publikowane przez BLS.



Zgodnie z oficjalną metodologią liczenia CPI, sposób obliczeń Williamsa jest niewłaściwy, ale mimo to, otrzymane przez niego wyniki są poprawne. Indeks z www.shadowstats.com pokrywa się ze wzrostem pieniądza M3 w obiegu (pierwotny sposób obliczania inflacji).



Źródło: Opracowanie własne.

Według danych publikowanych przez FED, ilość dolara rośnie w postępie geometrycznym i podwaja się co 9 lat. Pokrywa się to niemal idealnie ze wskaźnikiem Williama – pomimo kontrowersyjnej metodologii wyniki się zgadzają. Co zatem z kosztami życia? Czy indeks Williama je przeszacowuje? Oprócz oficjalnego CPI istnieje, na szczęście, kolejny niezależny indeks, dzięki któremu możemy zweryfikować dane z www.shadowstats.com.

Chapwood Index

Chapwood Index, to narzędzie do obliczania poziomu kosztów życia, bardzo zbliżone do oficjalnego CPI. Jego twórca Ed Butowsky, postanowił stworzyć wiarygodny indeks, jednak bez kilku czynników (wyjątkowo kontrowersyjnych) stosowanych przy tworzeniu wartości wskaźnika BLS-u. Przede wszystkim nie zmienia on wag i dóbr w koszyku.

Wagi w koszyku (jak i listę produktów) stworzono dzięki kwestionariuszom wypełnionym przez przedstawicieli amerykańskiej klasy średniej. Wybrali oni 500 dóbr i usług, które ich zdaniem reprezentują grupy produktów, najczęściej kupowanych i stosowanych przez konsumentów.

Chapwood Index objął 50 miast z większości stanów USA. Zostało to podyktowane nie tylko dbałością o zapewnienie jak najlepszej reprezentacji wszystkich regionów, ale również kosztami pozyskania danych. Butowsky w wybranych miastach ma po prostu swoich ludzi, którzy zbierają dla niego informacje. Co kwartał wyznaczone osoby spisują ceny, koszty i uzupełniają bazę danych. Te są następnie uśredniane i podawane na stronie Chapwood Index jako roczna zmiana.

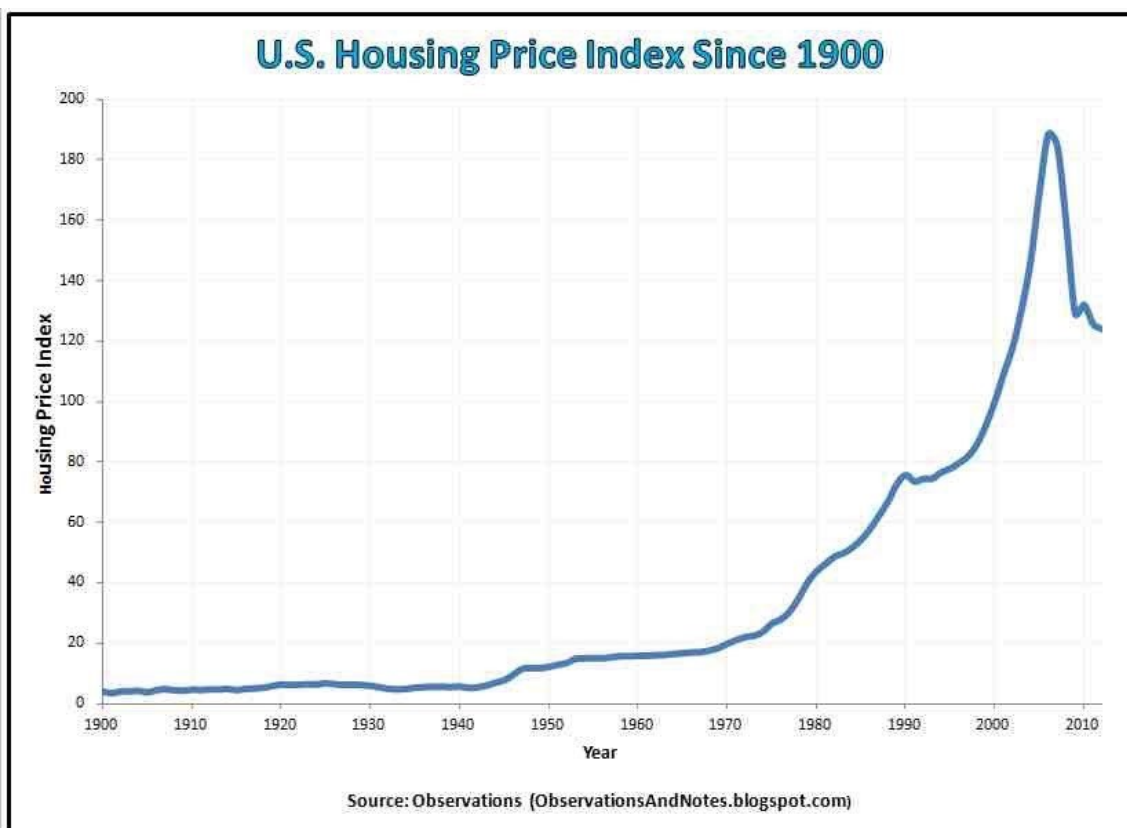
Dzięki temu każdy ma możliwość sprawdzenia zmiany kosztów życia w większości stanów. W 2015 roku poziom inflacji w poszczególnych regionach wahał się od 5,9% w Phoenix (Arizona) do 13,4% w Portland (Oregon).

Dzięki temu wiemy, że wskazania Williamsa (poziom 8–10% na przestrzeni ostatnich lat), zawierają się w zakresie podawanym przez Chapwood Index. Jest to kolejne potwierdzenie wiarygodności szacunków publikowanych przez www.shadowstats.com.

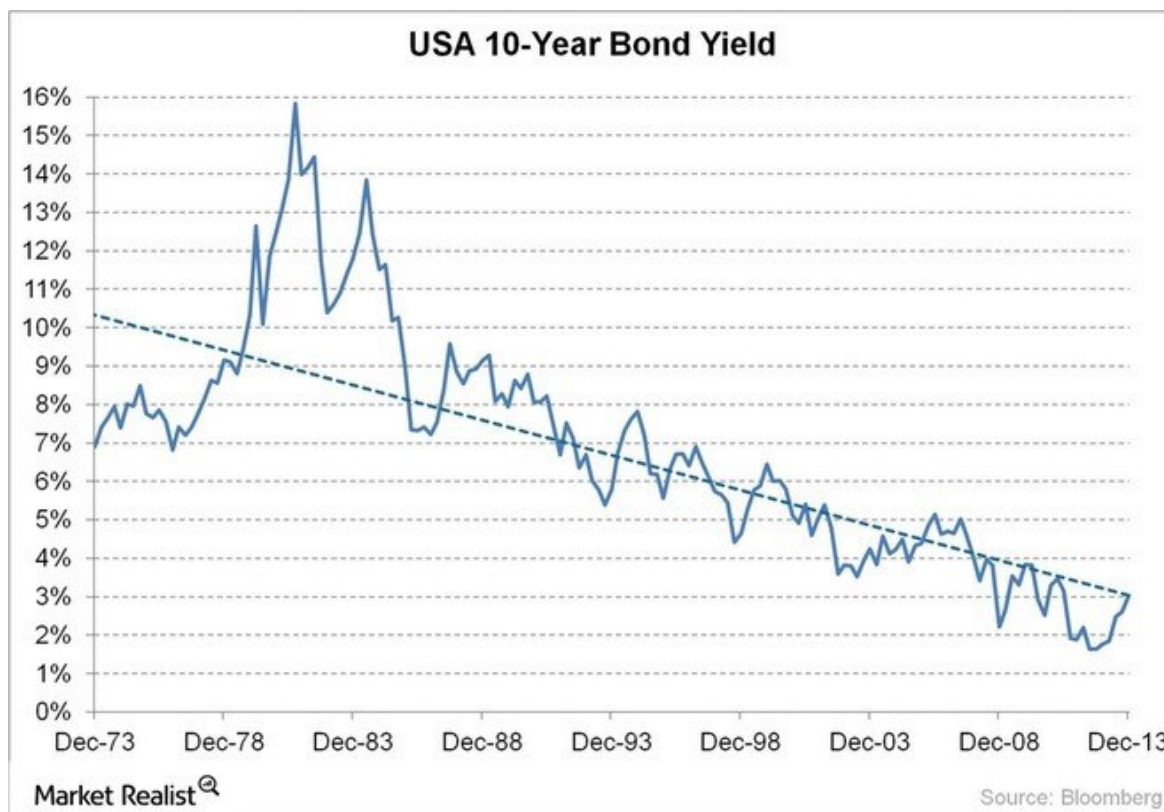
Nierównomierne rozchodzenie się pieniędzy po gospodarce

Pieniądze rozchodzą się po gospodarce nierównomiernie. Konsumenci przeznaczają je nie tylko na dobra codziennego użytku, ale również na instrumenty finansowe, których wzrost nie jest uwzględniany w koszyku CPI. Błędem jest zatem próba weryfikacji poziomu inflacji poprzez porównanie np. wysokości cen chleba na przestrzeni lat.

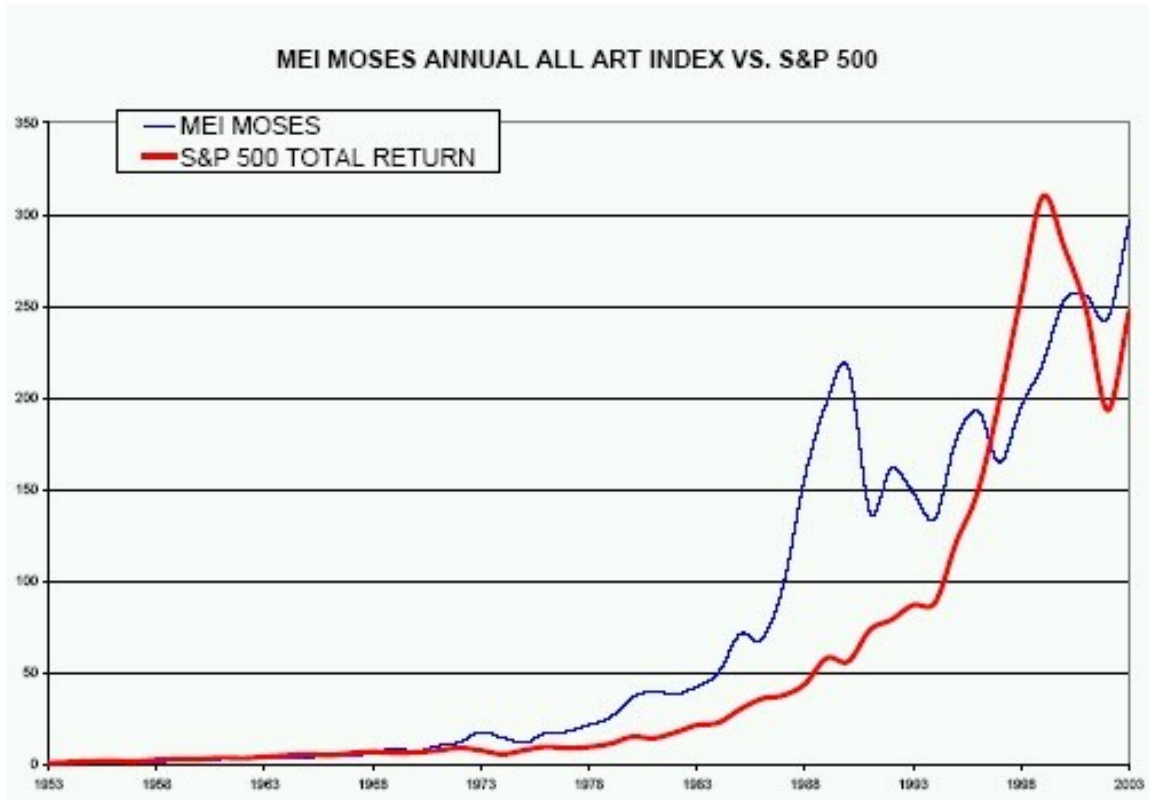
Nadmiar drukowanych dolarów znalazł ujście w różnych sektorach gospodarki. Ceny złota czy ropy są pod kontrolą rządów, ale aktywa – wyceniane zgodnie z zasadami wolnego rynku – dają prawdziwy obraz szalejącej inflacji. Dobrym przykładem jest rynek nieruchomości, który od 1980 roku urósł o 300% i zaliczył po drodze bańkę, windującą ceny nawet 5-krotnie.



Oprócz nieruchomości są przecież również rynki długu, czyli w praktyce nieprzerwanie rosnące ceny obligacji. Zgodnie z mechanizmem: wyższe ceny, niższa rentowność, możemy zauważyć coraz mniejsze odsetki wypłacane od długu rządowego (poniższy wykres).

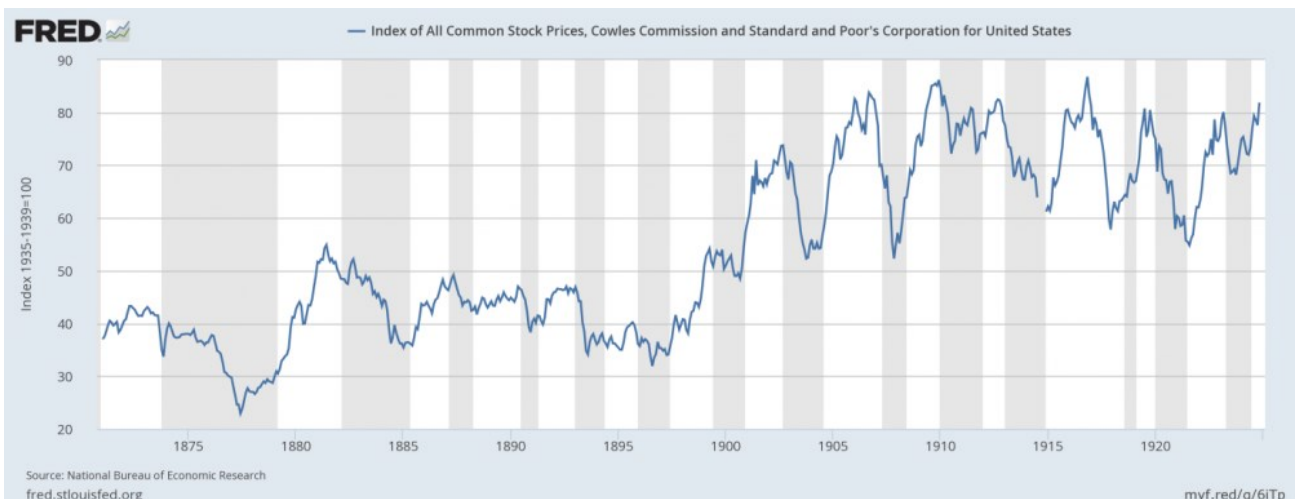


Sytuacja wygląda podobnie na Nowojorskiej Giełdzie, gdzie S&P 500 bije kolejne rekordy. Warto odnotowania jest korelacja Mei Moses Index (czyli indeksu dzieł sztuki) z S&P 500. W ostatnich dekadach, ze względu na niską podaż fizycznego złota (w stosunku do dolara) i trudności w zakupie dużych jego ilości, dzieła sztuki stały się ekwiwalentem metali szlachetnych, ponieważ – podobnie jak kruszec – nie są czymś długim.



Źródło: etf.com

Znajdą się oczywiście osoby, które powiedzą, że to postęp technologiczny winduje ceny akcji, poprzez rozwój techniki i wzrost produktywności. Nic bardziej mylnego. Gdy przed I Wojną Światową obowiązywał w USA standard złota, a podaż waluty trzymana była w ryzach, przemysł rozwijał się świetnie. Wynaleziono dynamit, wiertarkę elektryczną, napęd spalinowy, żarówkę, radio czy samolot. Wszystkie te wynalazki napędzały gospodarkę, a jednak cena akcji utrzymywała się przez dekady na podobnych poziomach.



Powyższy wykres, to średnia kapitalizacja wszystkich akcji notowanych w USA od 1870 roku, obejmująca okres 50 lat.

Pomimo silnego wzrostu gospodarczego, rynki akcji wcale nie muszą nieprzerwanie rosnać, a jeśli tak się dzieje, jest to spowodowane drukowaniem pieniędzy przez banki centralne i banki komercyjne. Dowodem na to jest bańka, która urosła w drugiej połowie lat 20., a została zainicjowana przez zbyt niskie stopy procentowe i wyższą podaż pieniądza. Jej pęknięcie doprowadziło do załamania się notowań na giełdzie i wielkiej depresji w latach 30. XX wieku.

Podsumowanie

Metodologia Johna Williamsa pozostawia wiele do życzenia. Nie zmienia to jednak faktu, że otrzymany wynik pokrywa się z pomiarami dokonanymi przez Chapwood Index. Pokrywa się on również ze wzrostem podaży pieniądza M3 w obiegu, co przed 1980 rokiem było rozumiane jako wskaźnik inflacji w gospodarce.

Podaż waluty M3 najprawdopodobniej przeszacowuje średni wzrost cen – wynika to z przyrostu produktywności, który historycznie wahał się w okolicach 1,5%. Jeśli zatem uwzględnimy przeszacowanie o wzrost produktywności na poziomie 1,5 punktu procentowego i pomniejszymy o nie wyniki Williamsa (8-10% w ostatnich latach), otrzymamy inflację na poziomie 6,5-8,5%. Będzie to dolny zakres wynikający z badań Chapwood Index, czyli wynik do zaakceptowania. Nijak ma się on jednak do oficjalnego wskaźnika CPI, który wynosi obecnie około 1%.

Musimy zdać sobie sprawę, że nie ma jednej dobrej metody pomiaru inflacji, czy zmiany kosztów życia. Wyniki z www.shadowstats.com są obarczone błędem, jednak biorąc pod uwagę wyżej opisane przeze mnie zależności i wzajemne potwierdzenia danych, nie uważam by było to więcej niż 2 punkty procentowe. Z tego powodu odrzucam oficjalne wyniki jako niewiarygodne, ponieważ nie znajdują one potwierdzenia w rzeczywistości. Mimo iż jestem świadomy niedoskonałości alternatywnych metod pomiaru zmian kosztów życia, przyjmuję wskaźniki z www.shadowstats.com oraz z Chapwood Index za najbardziej wiarygodne i najbliższe prawdzie.

Zespół Independent Trader

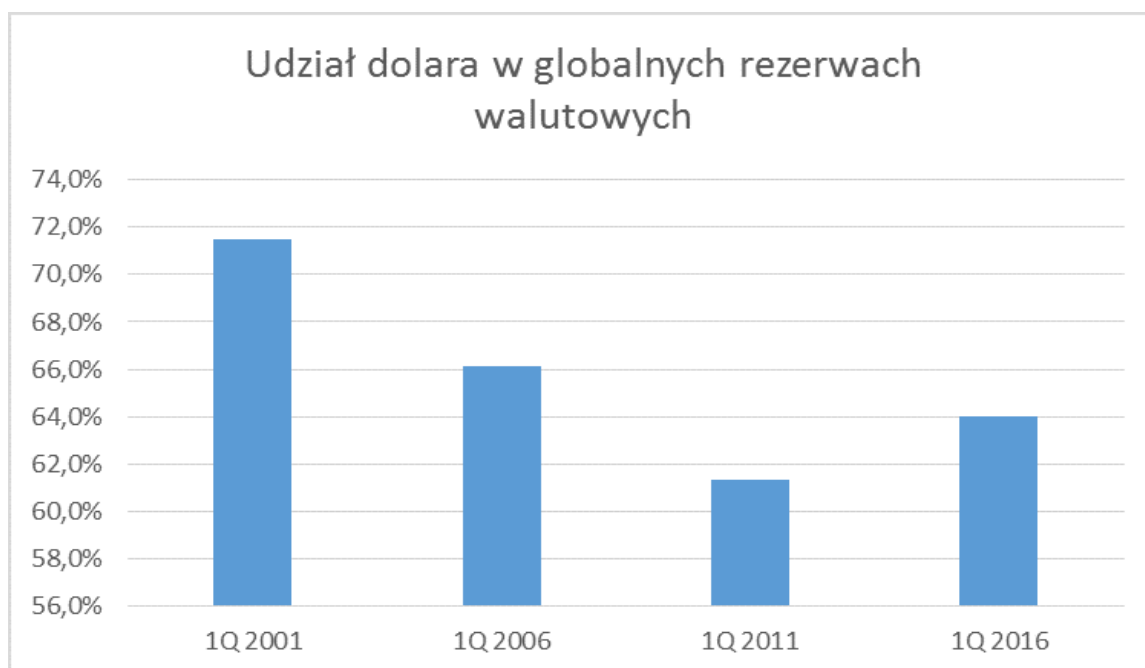
Clinton czy Trump - wybory o globalnym znaczeniu.

Ośmioletnia prezydentura Baracka Obamy dobiega końca. Z całą pewnością nie był to najlepszy okres w historii USA. Na przestrzeni zaledwie kilku lat doszło do podwojenia długu Stanów Zjednoczonych, a gospodarka wciąż boryka się z wieloma problemami. W tym czasie USA zdołały również zdestabilizować sytuację na Ukrainie i Bliskim Wschodzie. Jak będzie kształtować się dalsza polityka największego światowego mocarstwa? Wiele rozstrzygnie się w listopadzie, kiedy Amerykanie wybiorą nowego prezydenta. Zostanie nim albo kandydatka Demokratów Hillary Clinton, albo – nominowany przez Partię Republikańską – Donald Trump.

Tło wyborów

Stany Zjednoczone znajdują się obecnie w wyjątkowej sytuacji. Po raz pierwszy w historii tego państwa klasa średnia stanowi mniejszość. Rozwarstwienie społeczne z każdym rokiem jest coraz większe, przy czym trzeba podkreślić, że już 70 procent obywateli korzysta z pomocy państwa (czy to w formie zasiłków, dopłat do kredytów, czy też w jakikolwiek inny sposób). To wszystko oczywiście ogromnie obciąża budżet państwa, a jego zrównoważenie jest obecnie niewykonalne. W efekcie następuje przyrost długu publicznego.

Biorąc pod uwagę rzeczywistą inflację, gospodarka USA kurczy się. Niektóre kraje, które w ostatnim czasie nadrabiały dystans do Stanów Zjednoczonych (m.in. Chiny, Turcja czy Indie), starają się ograniczyć wymianę handlową z wykorzystaniem dolara. Podobnie zachowuje się Rosja. W konsekwencji zmniejsza się znaczenie amerykańskiej waluty na arenie międzynarodowej.



Źródło: Opracowanie własne.

Jak widać na wykresie, w dłuższej perspektywie, dolar stanowi coraz mniejszy odsetek globalnych rezerw walutowych. W ostatnim czasie mieliśmy do czynienia z umocnieniem amerykańskiej waluty, jednak biorąc pod uwagę okres od czasu wprowadzenia euro, jej udział w rezerwach spadł z 71,5% do 64%.

O ile pod względem rozwoju gospodarczego Stany Zjednoczone nie robią dziś już wielkiego wrażenia, to wciąż pozostają bezkonkurencyjne pod względem militarnym. Ogromne sumy pieniędzy z budżetu państwa (każdego roku) przekazywane są na armię. Dzięki temu Stany Zjednoczone mogą prowadzić działania w różnych rejonach świata jednocześnie, a kompleks przemysłowo-militarny stale naciska na zaognienie sytuacji w wielu krajach.

Rosja przedstawiana jest jako największy wróg USA. Stanom Zjednoczonym udało się zdestabilizować sytuację na Ukrainie, co ostatecznie doprowadziło do aneksji Krymu przez Rosję. W efekcie wprowadzono wiele wzajemnych sankcji gospodarczych, zarówno na linii USA – Rosja, jak i UE – Rosja. W związku ze wspomnianym demonizowaniem Rosji warto zauważyć fakt, iż ważni amerykańscy oficjele, jak John Kerry i Victoria Nuland, mimo wszystko regularnie odwiedzają Moskwę i nikt nie zamierza robić z tego afery. Dla odmiany – Donald Trump określany jest mianem „przyjaciela Putina” wyłącznie z powodu biznesowych powiązań ze stroną rosyjską.

Skupiając się już na samej kwestii wyborów warto dodać, że główni kandydaci w wyborach prezydenckich „cieszą się” rekordową niechęcią ze strony społeczeństwa. W przypadku Hillary Clinton spowodowane jest to serią afer z jej udziałem, natomiast przyczyną wzrostu niechęci wobec Trumpa są jego antyimigracyjne hasła.

Clinton, czyli kandydatka establishmentu

Hillary Clinton od dłuższego czasu obecna jest w amerykańskim życiu politycznym, od lat pełni istotne funkcje. Jest to kandydatka mocno wspierana przez establishment, któremu zawdzięcza niebywałą przychylność mediów. Jednak coraz trudniej jest zamieść pod dywan oskarżenia związane z jej wcześniejszą działalnością. Chodzi tutaj przede wszystkim o okres, w którym pełniła funkcję Sekretarza Stanu.

Zgodnie z raportem generalnego Inspektora Departamentu Stanu, w latach 2009–2013, Clinton do celów służbowych używała serwera umieszczonego w piwnicy jej domu. Ponad 30 000 maili, które przeszły przez serwer opublikowało WikiLeaks. Znajdowały się w nich m.in. plany obalenia syryjskiego rządu.

„Najlepszym sposobem, aby Izrael mógł poradzić sobie z rosnącym potencjałem nuklearnym Iranu, jest udzielenie wsparcia rebeliantom syryjskim w obaleniu rządu Bashara al-Assada” – napisała w jednym z maili Hillary Clinton. W innej wiadomości namawiała do przeprowadzenia ataku na rodzinę syryjskiego przywódcy.

Na podstawie wycieku stwierdzono również, że Clinton działała wcześniej przeciwko Muammarowi Kaddafiemu w Libii, angażując się w dostarczanie broni grupom terrorystycznym działającym w tym kraju. Część wyposażenia została użyta przeciwko Amerykanom. Uważa się, że jedną z ofiar tych działań był amerykański ambasador Chris Stevens. Ujawnienie korespondencji byłej Sekretarz Stanu przyczyniło się do wystawienia wielu amerykańskich agentów działających na Bliskim Wschodzie (co najmniej kilku zginęło właśnie z tego powodu). Trudno zatem dziwić się, że Hillary Clinton nie może liczyć na przychylność środowiska wywiadowczego. FBI prowadzi śledztwo w tej sprawie, jednak mało prawdopodobne jest, aby oficjalnie postawiono Clinton jakiegokolwiek zarzuty przed wyborami. Dyrektor FBI, James Comey, doskonale zdaje sobie sprawę, że taka sytuacja wywołałaby kryzys konstytucyjny. Ciekawostką stanowi fakt, iż podczas przesłuchiwania Clinton przez agentów FBI nie było żadnego urządzenia nagrywającego, nie ma również żadnego stenogramu. Nie jest to częsty przypadek. Sędzia Andrew Napolitano określił nawet tą sytuację, jako „niespotykaną”. Prowadzone w ten sposób przesłuchanie utrudnia weryfikowanie prawdziwości słów, które wypowiada Hillary Clinton podczas publicznych przemówień.

Na zakończenie ww. wątku korespondencji podam jeszcze jeden fakt. Julian Assange zasugerował niedawno (w wywiadzie dla holenderskiej telewizji), że jednym ze źródeł WikiLeaks był Seth Rich, 27-letni członek Partii Demokratycznej, zamordowany w Waszyngtonie na początku lipca. Oficjalnie informowano, że przyczyną zbrodni był rabunek. Problem w tym, że napastnik nie zabrał ani zegarka, ani gotówki, ani karty kredytowej.

Kolejnym źródłem problemów kandydatki Partii Demokratycznej jest fundacja prowadzona przez Billa, Hillary oraz Chelsea Clinton, znana jako The Clinton Foundation. Pod przykrywką niesienia pomocy krajom znajdującym się w trudnej sytuacji, Clintonowie i ich współpracownicy dogadują się z tamtejszymi rządami załatwiając kontrakty dla firm, które następnie wpłacają duże sumy na konto fundacji. Znaczna część pieniędzy trafia na konta Clintonów jako honorarium za przemówienie. Dla przykładu – Bill Clinton za jedno przemówienie w Nigerii zarobił 700 tysięcy dolarów.

Z informacji Charlesa Ortela, który analizował dane dotyczące fundacji, wynika, że w ciągu kilkunastu lat nie przeprowadzono w niej ani jednego audytu, a od 1997 roku przez The Clinton Foundation „przeszło” kilkaset miliardów dolarów. Oficjalnie fundacja zebrała 2 miliardy dolarów, jednak odnotowane wpływy nijak się mają do sum deklarowanych przez darczyńców. Przedstawiciele fundacji również przyznali, że niektóre wpływy w ogóle nie były ewidencjonowane. W ramach działalności dobroczynnej fundacja Clintonów przyjęła pieniądze od francuskiej spółki Lafarge, która współpracowała z Państwem Islamskim, aby utrzymać swoją pozycję w tym rejonie.

Jak widać, Clinton związana jest z wieloma podejrzanymi sprawami. Pod pewnym jednak względem zwiększa to jej szanse – kandydat na którego jest wiele haków, to osoba łatwiejsza do kontrolowania. Jednocześnie Clinton żyje w dobrych stosunkach zarówno z przemysłem militarnym, jak i z branżą finansową.

Instytucje z tego ostatniego sektora wsparty kampanię Clinton kwotą 123 milionów dolarów. Dla porównania – Trump dostał... 19 tysięcy dolarów. Nie dziwi zatem fakt, że zawsze znajdują się środki potrzebne do tego, by kupić przychylność dziennikarzy.

Kandydatka Partii Demokratycznej może przedłużać okres bez konferencji prasowej (to już 250 dni!), gdzie łatwo mogłaby zaplątać się we własnych zeznaniach. Ostatecznie przecież będzie musiała stanąć do debaty z Trumpem. Jak zareaguje gdy wystąpi przed 70 lub 100 milionami widzów, kiedy dobrze przygotowany przeciwnik zada jej kilka niewygodnych pytań? To nie będzie już przesłuchanie za zamkniętymi drzwiami. Wielu Amerykanów chętnie przeanalizuje jej zachowanie, gdy padną trudne pytania. Tym razem telewizja nie będzie już mogła przerwać transmisji w dowolnym momencie, jak kilkakrotnie zrobiło to ostatnio CNN.

„Nie możemy już bardziej pomóc Hillary Clinton. Jak do tej pory, media stale ją wspierają. Jesteśmy najsilniejszym punktem jej kampanii” – powiedział Chris Cuomo, dziennikarz CNN, podczas jednego z programów.

Trump, czyli uderzenie w polityczną poprawność

Kiedy standard życia w kraju nie ulega poprawie, a media donoszą o świetnych wynikach rynku pracy i kolejnych rekordach bitych na giełdzie, wielu obywateli odczuwa irytację. To idealny moment na pojawienie się kogoś, kto mówi, jak jest. Nominacja Partii Republikańskiej przekazana Trumpowi jednoznacznie pokazuje, że on ten moment wykorzystał. Nie jest to anonimowa postać, od początku kojarzony jest wyłącznie z sektorem prywatnym. Czym więc Trump zdobył sobie popularność, która wystarczyła by wygrać prawyborcy w Partii Republikańskiej? Zawążyła pamięć o dumie narodowej Amerykanów. Jego hasło, o ponownym uczynieniu Ameryki wielką, idealnie trafiło w nastroje wielu wyborców. Był to przekaz dla osób, które nie partycypują w systemie i które nie będą miały zysków z kolejnego konfliktu zbrojnego, w jaki włączają się Stany Zjednoczone.

Trump nie ma takich problemów, z jakimi zmagają się Hillary Clinton, dlatego też trudniej jest go kontrolować. To z kolei sprawia, że establishment o wiele chętniej widziałby w fotelu prezydenckim kandydatkę Partii Demokratycznej. Jednym ze sposobów na osłabienie pozycji Trumpa jest nieustanne demonizowanie go w mediach. Czasem pretekstem do tego stają się jego biznesowe kontakty z Rosją, a czasem wypowiedzi o deportowaniu nielegalnych imigrantów. Kandydat Partii Republikańskiej ma tendencję do wypowiedziania kontrowersyjnych słów, dzięki którym mediom łatwiej jest przedstawić go w złym świetle – w pewnym sensie sam dla siebie stanowi jedno z głównych zagrożeń. W obecnej sytuacji można być pewnym, że każde jego niefortunne stwierdzenie zostanie powtórzone 100 razy przez główne stacje telewizyjne.

Trzeba jednak również przyznać, że wiele wypowiedzi Trumpa trafia w samo sedno. Podczas wystąpienia w Detroit, przedstawił on realne dane dotyczące amerykańskiej gospodarki (przytaczane często również na naszym portalu).

Wspomniał m.in. o 95 milionach ludzi znajdujących się poza siłą roboczą, co ewidentnie przeczy oficjalnym statystykom mówiącym o 5-procentowym bezrobociu. Przypomniał również o rekordowo niskiej liczbie Amerykanów posiadających nieruchomości. Prawdziwość tych danych potwierdzili dziennikarze Wall Street Journal. Innymi słowy: mainstream przyznał, że oficjalne dane nie mają nic wspólnego z rzeczywistym stanem gospodarki. Trudno zatem dziwić się, że Trump, mimo nieprzychylności mediów, może liczyć na przynajmniej 40-procentowe poparcie. Dodatkowe punkty zdobywa on również dzięki Mike'owi Pence'owi, który jest jednym z kandydatów na wiceprezydenta. W 2008 roku Pence był przeciwny propozycji ratowania banków. Obecnie pełni funkcję gubernatora Indiany, gdzie regularnie od kilku lat obniżane są podatki.

Porównanie poglądów

Handel: zarówno Trump, jak i Clinton są negatywnie nastawieni do obecnie obowiązujących umów o wolnym handlu. Republikański kandydat chce renegocjacji traktatów i podkreśla, że miejsca pracy stale przenoszone są z USA do innych krajów.

Podatki: Trump postuluje znaczące cięcia podatków, wśród których wymienia obniżenie najwyższej stawki indywidualnego podatku z 39,6% do 25%, usunięcie podatku od spadków, a także obniżkę podatku od przedsiębiorstw z 35% do 15%. Takie zmiany wzmocniłyby konkurencyjność, gdyż obecnie podatki płacą głównie małe i średnie firmy, natomiast przeciętna wysokość podatku płaconego przez największe korporacje to 2,6%. Zupełnie inaczej wyglądają postulaty Clinton, która zapowiada 4-procentowy domiar podatkowy od dochodu przekraczającego 5 mln dolarów, a także efektywną stopę podatkową na poziomie minimum 30 procent, w przypadku gospodarstw domowych z dochodem wyższym niż 2 mln dolarów. Jeśli w tym momencie najbogatsi są w stanie unikać płacenia podatków, to wspomniane zmiany niczego nie poprawią. Była Sekretarz Stanu proponuje również dodatkowy podatek od zysków dla aktywów o terminie zapadalności 1–6 lat. Twierdzi, że ma to zachęcić do inwestowania długoterminowego.

Opieka socjalna i medyczna: kandydaci nie zapowiadają rewolucyjnych zmian pod tym względem. Clinton mówi o wzmocnieniu opieki socjalnej, nie wspomina jednak o efektach tego projektu dla budżetu. W tym kontekście warto wspomnieć o efekcie Obamacare, który wprost rujnuje Amerykanów. Ingerencja państwa w kolejny sektor sprawiła, że społeczeństwo ponosi wysokie koszty za usługi medyczne, które stanowią kluczową pozycję w ich wydatkach. Trzeba zaznaczyć, że zapowiedziano już kolejną podwyżkę cen opieki medycznej.

Zadłużenie: z obu stron padają zapowiedzi zrównoważenia budżetu państwa, co wydaje się być niewykonalne. W chwili obecnej wydatki przewyższają przychody o 30 procent, więc aby uniknąć deficytu musiałoby dojść do zamknięcia co najmniej 90 (z istniejących 180) baz wojskowych. Warto jednak zauważyć, że kandydaci mają zupełnie inne pomysły na uniknięcie dalszego zadłużania. Trump chciałby uczynić to poprzez uwolnienie potencjału gospodarczego.

Jest to – moim zdaniem – znacznie lepsze rozwiązanie, niż propozycja Clinton, która chce zwiększać wpływy z podatków.

FED i polityka monetarna: Trump uważa, że stopy procentowe powinny być utrzymywane na obecnym poziomie do momentu pojawienia się inflacji. Najwidoczniej zdaje sobie sprawę z kataklizmu, jaki przyniosłaby podwyżka stóp i wybiera rozwiązywanie problemu długu metodą inflacyjną. Hillary Clinton nie odniosła się do kwestii stóp procentowych, natomiast zapowiedziała usunięcie „bankierów” z rad nadzorczych regionalnych FED-ów. Zważywszy na jej powiązania z bankami, nie brzmi to zbyt przekonująco.

Płaca minimalna: kandydat Partii Republikańskiej uznał kwotę 10 dolarów za godzinę za rozsądny poziom płacy, ale wolałby, żeby decyzja pozostała w rękach poszczególnych stanów. Z kolei Clinton zaproponowała kwotę minimum w wysokości 12 dolarów za godzinę, jednocześnie pozwalając stanom wyłączenie na podwyższanie tego poziomu. Warto pamiętać, że koszty życia w poszczególnych stanach bardzo się różnią. Idąc tokiem myślenia obu kandydatów, warto rozważyć ustalenie płacy minimalnej na poziomie 100 dolarów za godzinę, aby każdy mógł zostać milionerem. Problem w tym, że 90 procent osób zostałoby wówczas bez pracy.

Podsumowanie

W przypadku wygranej Clinton:

- a) będziemy mieć do czynienia z kontynuacją starań USA o spowodowanie kolejnego konfliktu zbrojnego (dużą rolę odegra presja ze strony kompleksu militarno-przemysłowego),
- b) najważniejsi przedstawiciele branży finansowej nadal będą mogli liczyć na parasol ochronny,
- c) zadłużenie USA wciąż będzie rosło,
- d) dojdzie do dalszego poszerzania roli państwa (Stany Zjednoczone, przez dekady kojarzone z wolnością gospodarczą, za prezydentury Obamy skierowały się w stronę socjalizmu. W przypadku wygranej Clinton, kurs ten będzie kontynuowany),
- e) przegrają same Stany Zjednoczone (osoby, które hołdują zasadom na których wyrosło to państwo, albo nie głosują wcale albo wybierają Trumpa, ponieważ jest kimś nowym w polityce. Clinton służy wyłącznie małej grupie wpływowych osób, które chcą utrzymać swoją władzę).

W przypadku zwycięstwa Trumpa:

- a)** dojdzie do normalizacji stosunków na linii USA – Rosja,
- b)** pojawi się szansa na zahamowanie socjalistycznych przemian, jakie mają miejsce w Stanach Zjednoczonych,
- c)** zadłużenie USA wciąż będzie rosnąć,
- d)** FBI nie będzie obawiać się przeprowadzenia śledztwa ws. Clinton w należyty sposób (bardzo prawdopodobne jest, że była sekretarz stanu trafi do więzienia).

Atmosfera w USA bardzo przypomina tę, która panowała niedawno w Wielkiej Brytanii, w czasie przed ostatnim referendum. Mam na myśli wszechobecną narrację odradzającą porzucenie starego porządku (w USA jest to bardziej jednostronne). W demonizowanie Brexitu zaangażowali się wówczas nawet celebryci, którzy wieścili przyjsie, wraz z nim, końca świata. Ostatecznie Wielka Brytania zdecydowała się wyjść z UE, a świat wciąż istnieje. Dlaczego zwycięstwo Donalda Trumpa miałyby przynieść kataklizm?

Z drugiej strony, gdyby Trump był tak groźny dla systemu, jak się to przedstawia, już dawno zostałby zignorowany i nie miałby żadnych szans w wyścigu o nominację. W ten sposób potraktowano chociażby Rona Paula. Niewykluczone, że Trump postanowił kupić sobie rozgłos i obecnie walczy z establishmentem jego metodami. Nie można jednak zaprzeczyć, że beneficjenci systemu bardzo się go boją.

Nie ma żadnych wątpliwości, że dwie bardzo istotne grupy interesów, czyli kompleks militarny oraz branża finansowa, zrobią wszystko, co możliwe, aby wygrała Clinton. W ten sposób kupią czas – następnych 5 lat panowania interesów wąskiej grupy osób. Dla przeciętnego Amerykanina będzie to czas stracony.

Zespół Independent Trader

Chiny znowu atakują dolara.

W zeszłym roku chiński juan (waluta drugiej co do wielkości gospodarki świata) został formalnie włączony do koszyka SDR, czyli ponadnarodowej waluty emitowanej przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Na wprowadzenie zmian wyznaczono okres 12 miesięcy. Czas jednak szybko mija i 30 września juan stanie się częścią SDR'a.

Chińczycy nie spoczywają jednak na laurach i robią, co mogą, aby upowszechnić zarówno własną walutę, jak i SDR'y zmniejszając jednocześnie rolę dolara na arenie międzynarodowej. Kilka dni temu Bank Światowy ogłosił, iż po raz pierwszy w historii wyemituje obligacje denominowane w SDR'ach. Nabywcą obligacji będą oczywiście Chińczycy, a dokładnie Azjatycki Bank Rozwoju, Azjatycki Bank Infrastrukturalno-Inwestycyjny (dawny konkurent MFW) oraz kilka banków komercyjnych.

Sprawa jest o tyle istotna, że BŚ nie emituje obligacji, gdyż potrzebuje kapitału. Ostatecznie jest to jedna z lepiej skapitalizowanych instytucji na świecie. Robi to na życzenie Chin, aby upowszechnić zastosowanie SDR'ów na arenie międzynarodowej. Chodzi o precedens i przekaz informacyjny dla największych graczy „od dziś możecie lokować nadwyżki w SDR ograniczając ryzyko walutowe”. Dodatkowo dzięki porozumieniu z BŚ, Chińczycy będą w stanie zarówno zdwersyfikować część rezerw dolarowych, jak i upowszechnić zastosowanie wspólnej waluty, której stają się elementem składowym. Sama emisja obligacji nie jest duża i wynosi raptem 2 mld SDR (ok. 2,8 mld USD). W praktyce jest to jednak milowy krok, gdyż otwiera drzwi do kolejnych emisji z zastosowaniem wspólnej waluty.

Kolejny ruch w kierunku upowszechnienia SDR wykonał Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Dwa tygodnie temu opublikował raport opisujący, w jaki sposób korporacje mogą emitować dług w SDR'ach. W pierwszej kolejności kupcami długu w ponadnarodowej walucie zapewne będą rządowe fundusze inwestycyjne z Singapuru, Norwegii czy Dubaju. W kolejnych miesiącach zostaną wypracowane rozwiązania pozwalające na inwestycje mniejszym inwestorom.

Skala przemian, jakie zaszły w ostatnim czasie jest naprawdę duża. Obecnie 23 kraje mają już przygotowane linie swapowe umożliwiające wymianę USD na SDR'y. Wiele krajów m.in. Chiny, Rosja i Francja głośno domagają się odejścia od systemu dolarowego na rzecz waluty międzynarodowej.

Na kolejnym (corocznym) spotkaniu grupy G20 zaplanowanym na 4 września najprawdopodobniej zostaną wypracowane rozwiązania umożliwiające płynną zamianę długu denominowanego w dolarach na dług w SDR. Wybór miejsca na chiński Hangzhou zapewne nie był przypadkowy. Ostatecznie zarządzający Państwem Środka przywiązują ogromną wagę do symboliki.

Aby rozwiązać spekulacje, musimy sobie od razu zaznaczyć, że przejście od systemu dolarowego na system oparty na SDR'ach nie następuje z dnia na dzień. Aby waluta zarządzana przez MFW czy BŚ weszła do szerszego użycia na poziomie banków centralnych, należy w pierwszej kolejności stworzyć odpowiednią płynność.

Dolar pełni funkcje waluty rezerwowej ze względu na jego powszechność oraz ogromną płynność. Bez najmniejszych problemów jesteśmy w stanie nabyć w ogromnych ilościach obligacje o terminie zapadalności od 30 dni do 30 lat. Z SDR'am nie jest tak łatwo, ale jego upowszechnienie jest raczej kwestią czasu.

Czemu akurat SDR?

Aby odpowiedzieć sobie na to pytanie, cofnijmy się trochę w czasie. SDR powstał już w 1969 roku, gdy elity finansowe obawiały się upadku dolara. Ostatecznie, aby sfinansować wojnę w Wietnamie oraz program Great Society, Stany Zjednoczone drastycznie zwiększyły podaż waluty. Cały świat zdawał sobie sprawę z problemów dolara. Efekt był taki, że wiele krajów zaczęło masowo wymieniać USD na złoto, co w krótkim czasie doprowadziło do spadku amerykańskich rezerw z 20 tys. do 10 tys. ton. Drenaż złota zakończył Nixon w 1971 roku, ale był to dopiero początek prawdziwych problemów dolara.

W ciągu kilku kolejnych lat doszło do drastycznego załamania się kursu USD, skokowego wzrostu cen surowców (kryzys paliwowy) oraz początków hiperinflacji w USA. Zaufanie na dolara spadło tak silnie, że w 1977 roku Stany Zjednoczone musiały zadłużyć się w CHF. Na obligacje denominowane w USD nie było chętnych. Aby ratować sytuację i zakończyć kryzys związany z brakiem zaufania oraz płynności MFW przeprowadził kilkanaście emisji obligacji SDR'ów, dzięki czemu ustabilizowano sytuację.

Lata 1980 - 2008 to okres relatywnego spokoju oraz dominacji dolara na arenie międzynarodowej. Sytuacja zaczęła się zmieniać po upadku Lehmana, kiedy to banki centralne na całym świecie zaczęły skupować bezwartościowe długi, byleby nie dopuścić do upadku całego systemu. W roku 2009 po raz pierwszy od 30 lat MFW wyemitował SDR'y warte ok. 100 mld USD, gdyż „oficjalnie” banki centralne nie były w stanie zapewnić wystarczającej płynności na rynkach finansowych.

Był to raczej test sprawdzający, czy jesteśmy w stanie przenieść na wyższy poziom władzę nad systemem monetarnym. Dziś bilanse większości banków centralnych pełne są toksycznych aktywów, płynność jest rzeczywiście na bardzo niskim poziomie. Do fatalnej sytuacji doprowadziły jednak działania samych banków. Byłoby naiwnością sądzić, iż Ci sami ludzie wyciągną nas z problemów, które sami stworzyli.

Gdyby w 2008 roku banki centralne wstrzymały się od interwencji i zajęły wyłącznie tym, do czego były pierwotnie powołane, przeszlibyśmy przez masowe bankructwa źle zarządzanych instytucji. Inwestorzy, którzy podejmowali nadmierne ryzyko, zapłaciliby za to odpisami długów.

W ciągu kilku miesięcy sytuacja by się oczyściła, a gospodarki wielu krajów zaczęłyby się ponownie rozwijać, bazując na zdrowszych fundamentach. Zamiast tego interwencje banków centralnych odwlekły problemy w czasie, zwiększając jednocześnie skalę potencjalnych konsekwencji. Efekt jest taki, że obecnie rozwiązania problemów szuka się w SDR'ach, ale czym jest SDR?

SDR jest niczym innym jak sztuczną walutą będącą wypadkową kursu:

- USD - waluty rezerwowej, od której odchodzi cały świat, emitowaną przez kraj z 1 bln USD deficytu.
- EUR - waluty sztucznego tworu, jakim jest UE, podtrzymywaną na powierzchni wyłącznie dzięki dodrukowi 80 mld EUR miesięcznie.
- GBP - dawną walutę rezerwową tracącą znaczenie z roku na rok. Wielka Brytania ma dodatkowo ten problem, że nie posiada żadnych rezerw złota umożliwiających przywrócenie wiary w walutę.
- JPY - ewidentny zwycięzca wojny walutowej. Absolutny lider w niszczeniu siły nabywczej Japończyków. W ciągu kilku miesięcy zapowiada się zresztą bezpośrednio rozdawanie waluty, byleby tylko pobudzić wydatki i gospodarkę. Coś, co nie działa od 30 lat, teraz magicznie ma zadziałać. „Szaleństwem jest robić wciąż to samo i oczekiwać różnych rezultatów” - Albert Einstein (nie dotyczy bankierów centralnych).
- RMB - oficjalnie niszczone, jak i pozostałe waluty. Nie wiemy jednak, czy Chińczycy po okresie SDR'ów nie zamierzają oprzeć waluty na potężnych rezerwach złota.

W każdym razie, jak widać SDR nie jest żadnym rozwiązaniem, lecz wyłącznie narzędziem, dzięki którym zarządzający globalnym systemem finansowym kupią trochę czasu i być może w płynny sposób przejdą z systemu petrodolara do systemu wielobiegunowego.

Podsumowanie

Włączenie juana do koszyka SDR będzie kolejnym gwoździem do trumny amerykańskiego dolara. Nic jednak nie dzieje się z dnia na dzień. Mimo, iż emisja długu w SDR nie ma dużej wartości, to jednak jest ona w stanie zapoczątkować większy proces.

Zapewne 4 września na G20 zostaną podjęte działania mające na celu przyspieszenie internacjonalizacji zarówno juana, jak i upowszechnianie SDR, ale nie możemy zapominać, że rezerwy dolarowe odpowiadają za 60% wszystkich rezerw banków centralnych. Gdyby doszło do ogromnego kryzysu zaufania do dolara, część długów mogłaby być przeliczona na SDR, ale na razie nikomu chyba nie zależy na wywołaniu większego krachu. Przy obecnym poziomie zadłużenia bardzo ciężko jest kontrolować sytuację.

Kilka lat temu planowano reset długów oraz przejście do nowego systemu. Jednym z ważniejszych elementów był Bail-in pozwalający na przejęcie części depozytów bankowych. Wydaje się, że to rozwiązanie porzucono na rzecz Bail-outu z MFW. Ostatecznie, jeżeli banki przejmują oszczędności ludzi, Ci masowo zwracają się ku gotówce, z którą elity finansowe walczą niezwykle silnie. Lepiej jest więc odłożyć plany na 5-10 lat i wyeliminować gotówkę, dzięki czemu będzie można przenieść kontrolę na dużo wyższy poziom.

Niezależnie jednak od drogi, jaką wybiorą globalni planiści, największym przegranym przemian systemowych w kierunku SDR'ów będzie dolar amerykański, któremu wspólna waluta będzie odbierać funkcję zarówno transakcyjną (wymiany handlowej), jak i rezerwową (rezerwy banków centralnych).

Czy po 4 lub 30 września dojdzie do jakiś znaczących ruchów na USD? Nie wydaje mi się. Jeżeli już to na okres problemów dolara wskazywałbym raczej okres powybiorczy, a przed-nominacyjny. Jest to raczej związane z obniżką stóp przez FED, do której moim zdaniem niedługo dojdzie, i ewentualnym powrotem do oficjalnego dodruku. Jeżeli do tego dojdzie, dolar straci kilka procent względem pozostałych walut, co powinno przełożyć się na wzrosty cen metali szlachetnych oraz surowców.

Na koniec chciałbym Wam uzmysłowić jedną rzecz. Jeżeli świat przyjmie SDR'y jako nową ponadnarodową walutę, to każdy ze 189 krajów zrzeszonych w MFW wpadnie w kleszcze międzynarodowej finansjery w taki sam sposób, w jaki Grecja wpadła w „łapy” Europejskiego Banku Centralnego. Gdyby Grecy kontrolowali bank centralny lub gdyby to rząd odpowiadał za emisję waluty, to wierzyciele zostaliby już dawno spłaćeni, a gospodarka, jak i społeczeństwo, zaczęłaby się rozwijać bez ciężaru nadmiernego długu. Zamiast tego kraj ten popada w finansową i gospodarczą ruinę i co najgorsze, końca nie widać.

Trader21

Opinie Czytelników.

Poniżej znajdziecie kilka ciekawych wpisów czytelników zamieszczonych pod artykułami na blogu. Mimo, iż nie zawsze zgadzam się z nimi to często wnoszą one wiele wartościowych informacji.

Kredyty frankowe.

Autor: IR

Banki żeniły franki wszystkim jak leci. To wszystko są ustawki służące dojeniu kogo tylko się da.

W wypadku kredytów walutowych systemy scoringowe w bankach, oprocentowanie, kursy były tak ustawiane, żeby na szczycie szaleństwa kredytowego każdy, kto nie będzie się bardzo stanowczo upierał przy PLN dostawał ofertę w walucie - niezwykle korzystną, żeby mu pasowała, w stylu: w PLN musi pan dostarczyć żyranta i np. 50 tyś. więcej swojego wkładu (najpierw bank starannie prześwietlał delikwenta, żeby wiedzieć ile ma), a w walucie dajemy bez tych drobiazgów, a tylko z zabezpieczeniem niskiego wkładu w postaci np. +1% marży (...a za chwilę to przecież spadnie).

Banki oczywiście "uczciwie" informowały o ryzyku kursowym, ale bardzo dobrze opisał tą uczciwość Modzelewski - banki w jednym zdaniu potrafią powiedzieć, że informowały ale przecież nikt nie może wiedzieć jakie będą kursy w przyszłości a już na pewno że/kiedy SNB zerwie pęga. Czyli banki same nie mają pojęcia o skali ryzyka kursowego, ale oczywiście każdego klienta uczciwie poinformowały i uwzględniły to w ofertach.

Nikt poważny nie chce i nie proponuje preferencyjnego traktowania frankowiczów, należy _tylko_ przestrzegać prawa i zmusić do tego banki. Teraz o tym głośno, ale wcale nie jest tak, że sprawa wybuchła po zerwaniu pęga przez SNB i gwałtownym skoku kursu CHF. Dużo wcześniej toczyły się już sprawy, pojawiały wpisy w spisie klauzul zakazanych (w wyniku spraw sądowych), teraz to nabrzmiało, bo informacja dociera do coraz większej grupy ludzi (a może została rozdmuchana dezinformacyjnie przy okazji wyborów) i przestała to być walka o przestrzeganie prawa (i czasem drobne pieniądze), a stała się walką o duże kwoty. Duże, bo banki zakończyły okres siania, a przystąpiły do zbiorów. Dodatkowo przy okazji jest stosowana bardzo poważna dezinformacja, że ktoś ma _pomagać_ frankowiczom - i nikt nie dodaje głośno i wyraźnie, że nie chodzi o pomoc finansową a już na pewno nie z budżetu.

Dezinformacja mająca na celu dzielenie społeczeństwa. Wydzielenie dużej grupy i przygotowanie do obarczenia jej winą - cudzą winą. Jeśli system bankowy beknie (nie sądzę, choć w indywidualnych sprawach tak się dzieje) i rzeczywiście odbije się to na WIBORze, to część ludzi będzie już tak zindoktrynowana, że powie, iż winni są waluciarze, a nie że banki. I o to chodzi w tym szumie informacyjnym.

Banki wyjdą niewinne, obarczone finansową (drobną) odpowiedzialnością za cudzą głupotę. To fakt, ale przemilczamy tu, że głupotę wykorzystaną niecznie przez banki działające na granicy prawa, dodajmy wyraźnie, że banki, które kreowane są na instytucje zaufania publicznego, mają działalność koncesjonowaną i swój osobny kawałek przepisów [prawo bankowe] regulujące ich funkcjonowanie - regulujące także jak może wyglądać umowa kredytowa. W tym właśnie sęk, te przepisy są tak specyficzne, ponieważ relacja bank - klient nie jest ze swojej natury równa i zdecydowana większość klientów jest "za głupia" nawet na zrozumienie umowy jaką podpisuje zakładając ROR. A ROR każdy posiadać zdecydowanie powinien, a niebawem będzie „musiał”.

Testem (kolejnym, który zapewne także zakończy się negatywnie) naszego Państwa jest to, czy pozwoli okraść w ten lub inny sposób a w tym wypadku być może i wywłaszczyć kolejną grupę obywateli z ich własności. Czy jest to nasze Państwo, czy tylko nasze kierownictwo działające na rzecz kogoś innego, kto stoi ponad naszym prawem. Być może prawdą jest, że pomiędzy Niemcami a Rosją nie ma prawa być niczego samodzielnego, nie ma niczego samodzielnego, a my żyjemy tylko złudzeniami.

Cykle Kondratiewa, a obecna sytuacja.

Autor: Dante

Coraz częściej trafiam na dowody prawdziwości cykli Kondratiewa, ale te cykle nie wynikają z natury kapitalizmu (jak wskazywał autor), lecz z interwencjonizmu państwa i banków centralnych. Otóż, cykle Kondratiewa są zbieżne z trwaniem systemów monetarnych:

I. do 1873r. system bimetaliczny (srebro i złoto),

II. 1873r. - I wojny światowej - standard złota,

III. lata 20. XX w. - standard waluty sztabowo-złotej (opartej o funta i dolara), lata 30. era waluty fiducjarnej,

IV. lata 40. - 70. XX w. II standard waluty sztabo-złotej (opartej na dolarze), lata 70. era waluty fiducjarnej,

V. lata 80. - do dzisiaj era waluty fiducjarnej, era petrodolara.

Każdy system monetarny wygląda podobnie - na początku wysokie realne stopy procentowe (opłaca się pracować oraz oszczędzać w obligacjach i na lokatach). A później te stopy zaczynają spadać, a to powoduje łatwiejszy dostęp do kredytu dla firm, ekspansję gospodarczą i wzrastają ceny akcji. Aż w ostatniej fazie systemu monetarnego pojawiają się negatywne realne stopy procentowe - w ogóle nie opłaca się oszczędzać na lokatach, średni wzrost cen akcji nie kompensuje inflacyjnej kradzieży, a konsumpcja dzisiejsza jest wyraźnie przedkładana nad przyszłą, a to źle zwiastuje na przyszłość popytowi i podaży w gospodarce, i dotyczy to zarówno państw jak i firm oraz gospodarstw prywatnych (czyli lepiej inwestować w metale szlachetne).

W skrócie, teraz mamy czas negatywnych realnych stóp procentowych, ale jak się skończy obecny system, to w nowym wystąpią relatywnie wysokie realne stopy procentowe (co zaszkodzi kredytobiorcom). Analogiczna sytuacja wystąpiła w latach 90. XX w. w Polsce podczas transformacji - wysokie realne stopy procentowe wówczas ekonomicznie przetrąciły kark tworzącej się klasie średniej w miastach i na wsi.

Co jeszcze może zrobić USA, by utrzymać status hegemonia?

Autor: Freeman

USA nie mają się na ten moment lekko. Tracą Turcję. Kukła Poroszenko od kilku dni prężył werbalnie militarne muskuły. Było pewne, że FR jakoś zareaguje i mamy niezapowiedziane manewry. Moje osobiste odczucie ukazuje powoli desperackie zachowanie usiaków. W zeszłym roku przymusili DE do przyjęcia natowskiej doktryny militarnej uznającej FR za wroga. Jeszcze w 2006 DE określał Rosję jako nadzwyczajnego partnera. Angela zdążyła odwrócić wajchę o 180 stopni. W przypadkowy import uchodźców do Europy też nie wierzę. Dziel i rządź zaczyna być uzupełniane dodatkiem "utrudniaj życie innym a nie dostrzegaj nagości hegemonia".

Kolejne przykłady desperacji: atak na VW i DB. Tu się nawet nie kryją, jakaś garażowa firemka odkrywa szwindel wielkiego koncernu samochodowego a Merkel zamiast bronić swojego, podkłada się do płacenia.

Inna kwestia: usiackie zadłużenie. Od zeszłego roku czy nawet dalej, dług oficjalny jakoby stoi w miejscu. Obama przez 7 lat mniej więcej zdążył podwoić zadłużenie a teraz licznik stoi.... Albo może mi ktoś wskazać licznik długu pokazujący stan lekko ponad 20 lub 21 bilionów, bo tyle spoko maja. Idą w propagandę i myślą jak dzieci. Myślą najwyraźniej, że tak można odwrócić uwagę od długu...

Zastanawia mnie ponadto przepuszczona wczoraj przez bundestag nowa reguła obrony cywilnej. Czyżby ogarnęły ich wyrzuty sumienia i przynajmniej w ten sposób chcą przygotować ludność na zbliżające się zagrożenie? Pewne źródła, powołując się rzekomo na wycieki ze służb, zapowiadają niebawem zmasowany atak na obywateli Zach. Europy. Rzekomo razem z imigrantami prześlizgnęło się 400 tys. wojowników. Gdyby to miało się potwierdzić to paraliż na wzór wojny domowej pochłonąłby państwa dotknięte tą zarazą.

Nie muszę tłumaczyć, że giełdy, banki infrastruktura, handel uległby załamaniu. Kraje Europy Wsch. wprowadzie nie dotknięte imigracją odczułyby wystarczająco taki stan i giełdy też by popłynęły. Na dodatek na Wschodzie ciągle mamy odgrzewanego ukraińsko-rosyjskiego kotleta. Taki scenariusz winduje usiaków na pozycję niebiańskiego hegemonia podczas, gdy wszyscy się wykrwawiają. Czy rzekome źródła ze strony niemieckich służb się potwierdzą? Trudno powiedzieć, ale patrząc na całość wygląda to wszystko na dziwnie napięte.

Wszelkie publikacje zamieszczone na stronie www.independenttrader.pl oraz w Independent Trader Newsletter powstały w oparciu o wiarygodne informacje, lecz ich trafność nie może być gwarantowana. Przedstawione opinie mogą się dezaktualizować, a ich autor nie jest zobowiązany do ich uaktualniania.

Przedstawione informacje są prywatnymi opiniami autora i nie stanowią rekomendacji inwestycyjnych w rozumieniu Rozporządzenia Ministra Finansów z dnia 19 października 2005 roku w sprawie informacji stanowiących rekomendacje dotyczące instrumentów finansowych, ich emitentów lub wystawców (Dz. U. z 2005 roku, Nr 206, poz. 1715).

Czytelnik musi być świadomy, że wyłącznie on ponosi odpowiedzialność z tytułu podejmowanych decyzji inwestycyjnych. Każda inwestycja powinna być konsultowana z licencjonowanym doradcą inwestycyjnym.

Wszystkie zamieszczone materiały są chronione prawami autorskimi. Nie mogą być kopiowane, publikowane czy modyfikowane w żadnej formie bez pisemnej zgody autora.